



STEFAN GRABIŃSKI

Płomienne gody


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN GRABIŃSKI
KSIĘGA OGNI

Płomienne gody

Kobierzycki spojrział na zegarek. Była trzecia po południu. W zakładzie dr. Paderny wolno było odwiedzać chorych dopiero o czwartej: pozostawała zatem jeszcze cała długa godzina...

Kobierzycki rzucił okiem raz jeszcze na świeżo sporządzony testament, którym zapisywał cały swój wielki majątek przytułkowi dla ubogich, przebiegł raz jeszcze parę początkowych linii pisma i złożywszy akt we czworo, schował go do szuflady biurka.

Mimo woli spojrzawszy w lustro naprzeciw, smutno uśmiechnął się: w świetnie skrojonym żakiecie, z białą pikową kamizelką i czar-

nym, artystycznie związanym krawatem było mu bardzo do twarzy; Stacha tak lubiła go w tym stroju. Biedna, nieszczęśliwa Stacha...

Utkwił spojrzenie w portret bujnej, przepysznej kobiety, zawieszony nad łóżkiem. Dziś ledwo cień pozostał z dawnej krasy. Okropna choroba umysłowa zwarzyła jej egzotyczne piękno prawie zupełnie. I to w tak krótkim stosunkowo czasie! Rok niespełna!

A winę ponosił on, tylko on — Władysław Kobierzycki, ceniony niegdyś powszechnie chemik i wynalazca.

Wina — cha, cha, cha! Jego wina! Tragedia raczej, nieszczęście, zrządzenie losu, wszystko, tylko nie wina!

Bo cóż był winien on, że okrutny jakiś przypadek stworzył zeń zwyrodniałą anomalię, jakiegoś wyjątkowego osobnika, który nie umiał spełniać zadań życiowych jak inni ludzie, nie mógł używać życia i jego rozkoszy w zwykły, normalny sposób? W czym tu zawinił on, dziecko poczęte może w szale płomieni, w grozie pożaru, co tysiącem purpurowych wstęg zawi-

snął nad łonem matki w godzinę miłosnych spełnień?...

Opuścił głowę na piersi i zamyślił się...

Pod przymkniętą powieką zaczęły wykwi- tać obrazy przeszłości: dzieciństwo, młodość uro- dziwa i pierwsze akordy lat męskich...

Z chaosu wspomnień wygrążyło¹ się na po- wierzchnię i przykuło uwagę parę najważniej- szych dłań w tej chwili, parę zasadniczych mo- mentów, w których ujawniła się tragiczna za- gadka jego istoty...

Do dwudziestego czwartego roku życia Ko- bierzycki nie odczuwał choćby najlżejszych wra- żeń erotycznych; płeć i jej sprawy były mu dzie- dziną zupełnie obcą i nieznaną. Ze zdumie- niem patrzył na zabiegi miłosne innych, któ- rych nie rozumiał, z chłodną obojętnością prze- chodził obok najponętniejszych kobiet. Kole- dzy śmiali się z niego, obdarzając przydomkiem „czystego Józefa”; drwiny znosił spokojnie, wzru- szając lekceważąco ramionami.

¹*wygrążyć się* (neol.) — zapewne przeciwieństwo słowa: *pogrążyć się*; wydobyć się z głębi, z toni. [przypis edytorski]

Aż zaszedł pewnego dnia wypadek, który wstrząsnął nim potężnie, budząc na krótką chwilę uśpione życie płciowe. Pamiętał tę dziwną godzinę jak dziś.

Było to w Żmigrodzie, w lecie, podczas pożaru. Dom krewnych, u których spędzał wtedy wakacje, padł jeden z pierwszych ofiarą płomieni. Pamiętał najdrobniejsze szczegóły tej dziwnej, krwawej nocy; krzyk kobiet, hałas służby, gorączkowe wyrzucanie rzeczy przez okna.

Na widok pierwszych języków ognia nagle jakby przeistoczył się cały. Jakieś nieznanne siły napływać zaczęły w jego dotąd chłodne, zrównoważone jestestwo, jakieś prądy gorące, zapędne² zaczęły kipieć w żyłach.

Silnie podniecony wyszedł ze swego pokoju na lewym skrzydle domu i zdążał ku wyjściu. Przechodząc przez sypialnię krewnych, spostrzegł kuzynkę swoją, szesnastoletnią Madzię, która na pół ubrana porwała się z łóżka do ucieczki. Wtedy to po raz pierwszy w życiu poczuł się mężczyzną. Ta dziewczyna, dotąd mu zupełnie

²zapędny — pochopny. [przypis edytorski]

obojętna, na którą aż do tej chwili nie zwracał niemal uwagi, nagle wydała mu się dziwnie pożądaną. Dreszcz krwi przebiegł ciało i wywołał rumieniec wstydu.

— Boisz się, Madziu? — szepnął gorąco, tuląc ją bezradną w ramiona.

— Okropnie — odpowiedziała również zmieszana dziewczyna. — Chodźmy stąd, Władku! Tędy, przez jadalnię, chodźmy prędzej! Patrzysz na mnie tak dziwnie.

— Poczekaj! Jeszcze czas. Widzisz te płomienie tam na ganku? Nieprawdaż, jakie to piękne i potężne? Cudowny żywioł!

I błędził ręką po jej odkrytej piersi.

— Władku! Teraz nie można. Kocham cię, Władku, lecz teraz nie pora. Ogień już przedostaje się przez okno salonu do środka. Uciekajmy!

I pociągnęła go za sobą.

Niechętnie dał się wyprowadzić poza obręb płonącego domu; potem pochłonęła ich i rozdzieliła ciżba domowników i tłum ratujących.

A nazajutrz rano po pożarze, gdy zakłopotana Madzia podnosiła nań co chwila pijane miłością oczy, odwrócił się chłodno i w parę dni potem wyjechał. Czar płci, rozpętany ogniem pożaru, przygasł wraz z nim bez śladu: Kobierzycki był wobec kobiet znów zimny i obojętny...

Minęło parę lat cichej, gorliwej pracy. Powoli zdobył sławę zdolnego chemika i uzyskał katedrę w wyższej szkole technicznej.

Mimo intensywnych studiów młody uczoney nie unikał zabaw. Owszem, lubił towarzystwo i bywał³ dużo; wśród wytwornej socjety warszawskiej był postacią popularną i chętnie widzianą — zwłaszcza u płci nadobnej. Jego odporność na wdzięki niewieście podniecała ambicję głośnych uwodzicielek serc męskich, ale bez widocznego powodzenia. U pięknych pań i zalotnych dziewczyc uchodził za twierdzą

³*bywać* (daw.) — udzielać się towarzysko; uczęszczać na przyjęcia i imprezy (premiery teatralne, koncerty itp.), na których spotyka się elita towarzyska.
[przypis edytorski]

nie do zdobycia. *Beau monsieur impassible*⁴ — oto przydomek, pod jakim znał go powszechnie wykwiniony świat niewieści.

Tak doszedł do lat męskich spokojny, pogodny, nietknięty burzą namiętności.

W parę miesięcy po przekroczeniu równika życia powtórzyło się nagle to sprzed laty sześciu i — rzecz szczególna — w podobnych warunkach; podczas pożaru.

Był wtedy tylko jednym z widzów, którzy tłumnie otaczali płonący dom. W szale rozpętanych nagle popędów, wśród zgielku ludzi, wśród chaosu głosów posiadał po raz pierwszy w życiu jakąś młodą, czarnowłosą kobietę w czerwonym szalu na ramionach — opodal miejsca katastrofy, niemal na oczach ludzkich na jednej z ławek pobliskiego skweru ocienionej krzewami bzu. Posiadł ją w pożarze ognia i krwi i odszedł na zawsze nieznanym. Do dziś dnia nie wiedział nawet, kim była pożarna kochanka i jak

⁴*Beau monsieur impassible* (fr.) — Piękny obojętny (niewzruszony) mężczyzna. [przypis redakcyjny]

się nazywa; zgubił ją w tłumie bez żalu i bez tęsknoty powtórzeń...

W trzydziestym piątym roku życia poznał na balu medyków Stanisławę Olszycką, precudną, rudowłosą, dwudziestoletnią wdowę po profesorze wszechnicy. Pani zajęła się nim od razu i wyróżniała go widocznie z grona wielbi-cieli. Był piękny, młody, sławny i uchodził za niezwykłego...

Widywali się zrazu na zabawach publicznych, w teatrze, na koncertach, potem u niej w domu, w ślicznej „Goplanie”. Bywał chętnie, bo mu to pochlebiało, lecz bez gorętszych uczuć. Pani Olszycka dawała mu nieraz do zrozumienia, że mógłby zostać jej mężem, obiecywała wspaniałą karierę dzięki poparciu wpływowych krewnych: Kobierzycki udawał, że nie rozumie, lub grzecznie, lecz stanowczo uchylał się przed propozycjami. Za dumny był, by ją oszukiwać, za prawy, aby brać za żonę kobietę, do której nie czuł pociągu. Stasia była mu wtedy tylko nader sympatyczna — lubił ją ogromnie i podziwiał jako piękny twór

przyrody z pobudek czysto estetycznych — oto wszystko. O właściwych uczuciach erotycznych wtedy przynajmniej nie mogło być mowy...

Aż nadszedł pamiętny dla obojga 22 sierpnia r. 1891. Mieli tego dnia odbyć wspólną wycieczkę automobilem za miasto. Koło godziny czwartej po południu Kobierzycki, wytworny i elegancki jak zwykle, szedł Lipową w stronę „Goplany”. Na zakręcie, tam gdzie ulica, tworząc silny kąt, zmierzała prosto do willi, uczuł swąd dymu i usłyszał gwar zmieszanych głosów.

„Gore!” — pomyślał, wpadając w stan szczególnego podniecenia. Po chwili wiedział już, gdzie wybuchł pożar: czarny słup dymu, przerywany od czasu do czasu żagwią płomienia, wykwitał nad willą pani Olszyckiej...

Pędem rzucił się w głąb ulicy i w parę minut potem przeciskał się gwałtownie przez gawieź ludzką, która półkolem otoczyła dom, tamując dostęp ratującym.

— Z drogi — krzyczał półprzytomny. —
Z drogi!

Wpadł przez oszkloną werandę do płonącego wnętrza.

— Pani Stanisławo! — wołał, szukając jej po pokojach. — Gdzie pani?

Nie zważając na tumany duszącego dymu ani na ogień, który już opanował prawe skrzydło willi, rzucił się najpierw w tę zagrożoną stronę.

Lecz tu jej nie znalazł. Osmolony, czarny od kopci, z nadpalonymi włosami, wydarł się płomieniom i wpadł przez przedpokój do sypialni. Tu zastał ją na pół omdlałą z przerażenia, przerzuconą bezradnie przez łóżko. Jej długie włosy o połysku miedzi, wymknąwszy się z uwięzi splotów, rozsypały się złotym płaszczem na poduszce.

— Jakżeś piękna! — zaszeptał, podając jej szklanekę z wodą. — Jakżeś niezwykle piękna!

Stacha otworzyła oczy i poznała go. Uśmiech tkliwy i słodki rozjaśnił jej cudne rysy:

— Drogi panie!

I wśród huku płomieni, wśród kłębów dymu oddała mu się w niewysłowionej rozkoszy.

Pijany szczęściem, uniósł ją w ramionach przez okno i złożył lekko, ostrożnie, jak dziecko, na murawie parku poza willą...

Tymczasem przybyła w krytycznej chwili straż ogniowa ocaliła dom; dzięki sprawności i energii strażaków udało się ochronić „Goplanę” od zupełnej zagłady. Szkody poczynione przez ogień naprawiono w ciągu kilku tygodni i w miesiąc po wypadku piękna wdowa mogła przyjmować gości jak dawniej w swym pysznie urządzonym salonie.

Zachowanie się Kobierzyckiego po wypadku było dla Stachy zagadką. Przez dłuższy czas po pożarze nie pokazał się w willi i jakby jej unikał. Dopiero po kilkakrotnym zaproszeniu przyszedł wielce onieśmielony i zakłopotany. Z namiętności, która wybuchła tak żywiołowo na chwilę, nie pozostało ani śladu: był znów, jak dawniej, wytworny i uprzedzająco grzeczny, lecz nie wykraczał poza granice zwykłej znajomości. Zdawało się, że zupełnie zapomniał o tym, co zaszło między nimi podczas pożaru.

Mimo widocznych objawów uczucia ze strony Olszyckiej zachowywał się wstrzemięźliwie i z rezerwą. O powtórzeniu sceny z 22 sierpnia nie mogło być mowy; czuł się do czegoś podobnego wprost fizycznie niezdolny; stąd płynęła przesadna powściągliwość wobec wylewów uczuciowych Stachy, których nie mógłby po męsku zaspokoić.

Wejrząwszy jednak głębiej w własne wnętrze, zauważył, że w jego życiu erotycznym zaszła pewna zmiana: mimo zupełnej obojętności zmysłów odczuwał dla złotowłosej kobiety silniejszą niż dawniej sympatię: lecz było to uczucie zgoła platoniczne, jeśli w ogóle to, co dla niej odczuwał, można było nazwać uczuciem. W każdym razie wkrótce zrozumiał, że rozstanie byłoby dlań obecnie rzeczą nader przykrą, jeśli nie bolesną; potrzebował jej towarzystwa i z nietajoną radością śpieszył na spotkanie.

Lecz jej to nie wystarczało. Pani Olszycka pokochała go miłością silną i namiętną kobiety zdrowej i normalnej i pragnęła, aby odpowiedział podobnie. Jego niewytłumaczony opór,

zwłaszcza po tym, co zaszło, obrażał jej godność niewieścią i drażnił zmysły.

Stąd przyszło niebawem do gwałtownych i gorących starć.

Pewnego wieczora odprowadzał ją z teatru o dość już spóźnionej godzinie. Przed bramą domu chciał się pożegnać, lecz niemal gwałtem wciągnęła go do wnętrza. Ustąpił i zjedli razem kolację. Po usunięciu się służby przesiadła do niego na sofę i objąwszy niespodzianie za szyję, pocałowała go namiętnie w usta.

Kobierzycki nie oddał pocałunku, lecz lekko odsuwając się, zdjął łagodnie pieścące go ramię.

Na twarzy Stachy odbił się wyraz niezmiernego bólu:

— Pogardzasz mną? — zapytała prostując się dumnie.

— Nie, przeciwnie. Czczę i szanuję jak mało kogo. I dlatego tak postępuję.

Ściągnęła wspaniałe łuki brwi i wpatrywała się weń przenikliwie:

— Nie kochasz mnie!

Kobierzycki powstał i, ujmując łagodnie przegub jej ręki, odparł spokojnie:

— Przeciwnie, kocham panią, lecz nie tak jak inni. Kocham panią, Stacho, lecz na swój sposób. Nie umiem inaczej. Miłość moja pozbawiona jest zmysłów.

— W takim razie jak mam tłumaczyć sobie twoje postępowanie *wtedy*? — zapytała, oblewając się purpurą wstydu na wspomnienie godziny rozkoszy.

— Przepraszam panią — szepnął, pochylając się ku jej ręce. — Obraziłem cię. To była u mnie chwila wyjątkowa, gdy nie władałem sobą: byłem jak nieprzytomny.

Przesunął dłoń po twarzy, jakby chcąc zetrzeć z niej głęboką rysę męki, co przeorała ją w tym momencie.

— Przebacz, Stacho, przebacz! Błagam cię! Podczas pożaru nie odpowiadam za siebie.

Rzucił się jej do stóp, obejmując rękoma kolana.

— Jestem anormalny — wyjąkał, kryjąc twarz w dłoniach. — Jestem zwyrodniały, nie-

podobny do innych. Znamię ognia spoczęło na mnie. Jestem jego dzieckiem i igraszką. Nie wolno mi zbliżać się do ciebie. Nie mogę zostać twym mężem, Stacho. Muszę pożegnać cię i wyjechać stąd na zawsze; nie chcę cię dłużej zwodzić. Pokochałaś kalekę.

Zamilkł i łkanie zaczęło wstrząsać jego pierśią. Po raz pierwszy w życiu Kobierzycki płakał nad swą ułomnością, po raz pierwszy poznał, że jest zwyrodniałym wyjątkiem.

Stacha podniosła go z klęczek i, tuląc jego głowę do piersi, szeptała głosem miękkim, pieściwym słowa pociechy i miłości.

— Jeśli mnie kochasz naprawdę, powinieś mnie poślubić. Gotowa jestem wyrzec się rozkoszy fizycznej, byle zostać twoją żoną i mieć cię przy sobie. Czy sądzisz, że nie potrafię poprzestać na stosunku czysto idealnym? Kocham cię, Władku!

Kobierzycki wahał się. Wielka miłość tej kobiety odurzała go; nieprawdopodobny wydał

się ogrom poświęcenia i abnegacji⁵. Wreszcie ustąpił i zgodził się. W miesiąc potem została jego żoną.

Lecz dzień ślubu miał być dniem katastrofy. Już na parę dni przedtem Stacha wyglądała na silnie zdenerwowaną: to bladła bez powodu, to nagle kraśniała rumieńcem; chwilami zdawało się, że popada w tępą, smutną zadumę...

Gdy po uczcie weselnej nowożeńcy zostali sami, wprowadziła go z błyszczącymi podnieceniem oczyma do swego buduaru. Na chwilę Kobierzycki został sam.

Czuł się dziwnie nieswojo, jakby zawstydzony. Usiadł na otomanie i zapalił papierosa. Wypuszczając pod strop kłęby niebieskiego dymu, usiłował ująć sytuację. Wydała się nijaka, arcyśmieszna.

— Głupia historia — mruknął strzepując popiół z klapy fraka.

Wtem spoza kotary, oddzielającej buduar od sypialni, wyszła jego żona...

⁵*abnegacja* (z łac.) — wyrzeczenie się; brak troski o swój stan, wygląd i korzyści. [przypis edytorski]

Była zupełnie naga. Przepysznie wykute jej ciało oślepiało śnieżną białością na tle płomien- nego płaszcza włosów, które kaskadą spływały niemal do stóp. W ręce trzymała płonącą am- pulkę w kształcie złotego lotosu. Kołysząc się na cudnie sklepionych biodrach, postąpiła ku niemu z uśmiechem pijanej menady.

— Dzisiejsza noc należy do nas: noc ognio- wego cudu, twoja noc, mężu mój i kochanku. Jakżem szczęśliwa i dumna!

Przytknęła płomień kaganka do kotary; po- woli wśród ciszy przytajonych oddechów dra- peria zajęła się; długa, wąska wstążka ognia za- częła wspinać się brzegiem zasłony pod sufit. Wtem z wnętrza domu odezwał się suchy trzask trawionych sprzętów i w nozdrza uderzyła woń spalenizny.

— Patrz!

Odchyliła płonącą kotarę, ukazując sypial- nię. Kobierzycki ujrzał w głębi kotłujący kłęb płomieni.

— Czyż nie piękny widok, drogi mój? — zapytała wypuszczając z ręki ampułkę. I zarzuciła mu na szyję parę cudnych ramion.

— Czyżbyś ty sama? — zaszeptał cały w dreszczach złowieszczej namiętności.

— Tak, to moje dzieło. To nasze gody ognio-
we.

I obsunęła się wraz z nim na otomanę.

Ogarnęło ich szaleństwo pożaru. Wśród huk płomieni, wśród trzasku przepalanych belek, wśród węzowych splotów dymu święcili noc poślubną. Żar ognia otaczał ich coraz węższą obręczą, coraz bliżej przyczołgiwały się maczki pożaru.

Wtem rozległ się okropny śmiech Stachy. Kobierzycki oprzytomniał i ujrzał się w środku ognistej topieli. Dym wygryzał im oczy, piekł ciała, parzył skórę.

— Cha, cha, cha! Cha, cha, cha! — szczydził rozdzierający chichot kobiety.

Zarzucił jej na głowę jakąś chustę i smagany biczami ognia wypadł wraz z nią na podwórze. W tej chwili strawiony do przyciesi strop

zawalił się i z głuchym łomotem runął w węzowisko płomieni...

W miesiąc potem odwiózł Kobierzycki żonę swoją do zakładu dr. Paderny dla umysłowo chorych. Wstrząśnienia nocy poślubnej wypaliły na umyśle nieszczęśliwej niezatarte piętno obłądu.

Choroba przybrała od razu formy groźne, niemal wykluczające powrót do stanu normalnego. Opieka lekarska była nieodzowna. Przychodziły na chorą okresy zupełnej depresji, gdy całymi dniami siedziała nieruchomo z oczyma wlepionymi w szybę okna, to znów ataki szału, podczas których darła na sobie suknie, rzucając na mężczyzn bezwstydną spojrzenia obłąkanej żądy. Czasami przeradzał się obłąd w bezdenne strach przed pożarem, w piekielną grozę ognia; wtedy nieszczęśliwa, wtulona w kąt pokoju, studiowała wychodzącymi z orbit oczyma jakieś fikcyjne płomienie, krzycząc coś ochrypłym, dzikim głosem.

Lecz były i dni, gdy ogień przeistaczał się dla Stachy w rodzaj cudnej fantasmagorii, w ja-

kiś płomienny fetysz; wtedy pragnęła go wywołać za wszelką cenę, pożądała całym swym tragicznym jestestwem jego żółtoczerwonych języków i palących wstęg. Podczas jednego z takich ataków zakład Paderny omal nie uległ katastrofie, gdy Kobierzycka w przystępie szału podpaliła swą celę. Cudem tylko udało się ocalić obłąkaną i ugasić pożar.

Odtąd czuwano nad nią z podwojoną gorliwością, usuwając starannie z jej pobliza płonące świece i zapalki.

Tak upłynął rok pobytu w zakładzie. Kobierzycki odwiedzał żonę początkowo dwa razy na tydzień, we wtorki i piątki między godziną 4 a 5 po południu. Lecz wizyty te były dlań nader przykre; wracał do siebie zawsze silnie rozstrojony. W okresie melancholii i duchowej prostracji przyjmowała Stacha te odwiedziny obojętnie, nie poznając go zupełnie; kiedy indziej znów rzucała mu się na spotkanie z wyciągniętymi ramionami, okrywając go pocałunkami ust spalonych gorączką. Wtedy mówiła ciągle o ogniu, pożarze, płomieniach i mi-

łości i rozpuszczając miedzianą kaskadę swych włosów, wabiła go ku sobie jak samka gołębia.

Kobierzycki przeżywał wtedy chwile najokropniejszej katuszy: wstyd i ból, rozpacz i upokorzenie szarpały mu duszę na strzępy. Wychodził z tego domu przygarbiony, drżący, postarzały o lat dziesiątek.

— Masz zapaliki? Władek, masz zapaliki? — brzmiał mu w uszach namiętny szept obłąkanej. — Daj choć jedną, choć jedną, choć jedną, Władus! — skamlał gorączkowy głos Stachy. — Podpalimy najpierw firanki, potem pościel, łóżko, a potem...

Tu wyczuwał na twarzy jej szybki, nierówny oddech.

— A potem, wiesz co?...

Pochylała mu się do ucha z tajemnym szep-tem:

— Cha, cha, cha! Cha, cha, cha! Płomienne gody! Nasze czerwone, nasze purpurowe gody!...

Wyrywał się z jej objęć blady, wstrząsany dreszczem grozy i uciekał do domu tym dłu-

gim, chłodnym kurytarzem w dwa rzędy cel numerowanych...

Po jednej takiej scenie poradził mu dr Paderna, aby ograniczył swe wizyty do jednorazowych odwiedzin na miesiąc. Lekarz utrzymywał, że obecność jego widocznie działa podniecająco na chorą, a i dla niego samego częste wizyty mogą stać się niebezpieczne. Kobierzycki przyznał mu w części słuszność i odtąd odwiedzał Stachę rzadziej.

Jakoż namiętne wybuchy obłąkanej bywały teraz coraz słabsze, lecz równolegle z tym wystąpiły inne objawy, budząc w nim różne podejrzenia. Oto zauważył po jakimś czasie, że Stacha poznaje go z coraz to większym trudem, że patrzy nań coraz to obojętniej, że jest jej coraz bardziej obcy. Równocześnie nie podobało mu się zachowanie Paderny. Parę razy pochwycił jego spojrzenie, rzucone na chorą pod koniec wizyty, gdy wchodził na chwilę do jej celi, parę razy ujrzał dziwny błysk w oczach obłąkanej na widok lekarza. Powoli nabrał przekonania, że Paderna pragnie go odsunąć od żony

możliwie na najdalszą metę i ogranicza liczbę odwiedzin ze względów niekoniecznie leczniczych. Okropne podejrzenie, zakradłszy się raz do duszy, sączyło w nią zabójcze jady, wyzerowało coraz głębsze koleiny. Po czasie spostrzegł lekceważący uśmiech asystenta, cyniczne spojrzenia zakładowych famulusów⁶.

Wreszcie spostrzeżenie uczynione w czasie ostatniej wizyty, dwa dni temu, rozwiało resztę wątpliwości, odsłaniając nagą, ohydłą prawdę.

W ubiegły piątek przyjęła go Stacha z zupełną obojętnością i nawet nie odwróciła się ku niemu twarzą od okna, przy którym zastał ją po wejściu do celi. Przemawiał długo głosem cichym, serdecznym, pieścił ruchem miękkim, macierzyńskim pukle jej włosów. Chora zdawała się tego nie dostrzegać; oczy jej, zapatrzone w przestrzeń poza oknem, co jakiś czas zwracały się pytająco ku drzwiom, jakby kogoś oczekując. Gdy w końcu koło piątej wszedł do pokoju Paderna, obłąkana porwała się ku niemu z błyskiem radości w oku.

⁶*famulus* (daw.) — zaufany sługa. [przypis edytorski]

— Nareszcie jesteś, Władku! — wyszło z ust jej westchnienie ulgi.

Lekarz zmieszał się i popatrzył na Kobierzyckiego.

— Typowe u obłąkanych pomieszanie osobowości.

— Znamienne, chciał pan powiedzieć — poprawił go zimno Kobierzycki. — Teraz już bierze pana za mnie.

I wyszedł bez podania mu ręki...

W ciągu najbliższych dni dojrzało w nim postanowienie. Odwieść go od zamiaru nie mogło już nic w świecie. Uporządkował wszystkie swe sprawy, spisał ostatnią wolę, oddał do druku najświeższą swą pracę naukową. Spokojnie, z uśmiechem wytwornego chłodu czekał końca.

A koniec ten miał przyjść dzisiaj — dzisiaj, w poniedziałek 21 maja między godziną 4 a 5 po południu. Spojrzał powtórnie na zegarek: dochodziły trzy kwadransy na czwartą; czas był najwyższy. Wstał od biurka, ubrał się i za chwilę jechał dorożką w stronę zakładu. Po

kilkudziesięciu minutach pojazd zatrzymał się przed bramą lecznicy. Kobierzycki zapłacił do-
rożkarza i krokiem spokojnym, równym, od-
mierzonym jak wahania zegara, zaczął wstępo-
wać na schody. Nie zatrzymał go nikt w drodze
— szedł, jak przeznaczenie, chłodny i nieubła-
gany...

Oto długi, półmrokiem okryty korytarz z dwie-
ma pierzejami cel... Zatrzymał się pod nume-
rem 15 i sięgnął po coś do kieszeni zakietu...

Z wnętrza doszły go w tej chwili jakieś gło-
sy: niski męski baryton i spazmatyczne łkania
kobiety. Pocisnął klamkę i wszedł do środka...

Na sofie w objęciach Paderny leżała jego
żona. Na skrzyp drzwi lekarz zerwał się, zasła-
niając odruchowo głowę. Na próżno! Huknął
strzał celny, jedyny i trafił go w skroń. Upadł
bez jęku...

Stacha, w złotolitym płaszczu włosów, pod-
niosła się z sofy i pochyliła się nad ciałem leka-
rza. Nagle podniosła twarz ku mężowi: w ry-
sach zmąconych szalem zdawał się przez chwi-
lę ważyć jakiś problemat, przedzierać rozpacz-

liwie ku jaśniom jakaś zagadka... Wtem błysk przytomności zaświtał w jej oczach — powiodła ręką po czole, rozchyliła usta, chciała coś przemówić... Za późno! Huk strzału uprzedził słowo. Z głuchym jękiem stoczyła się na zwłoki Paderny. Wtedy Kobierzycki skierował wyłot rewolweru we własne serce.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-ksiega-ognia-plomienne-gody/>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Utwory wybrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Fire Rose, Daniela@Flickr, CC BY-SA 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na *Plomienne gody* na stronie Fundacji.